



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulic. Mazowiecka Nr. 8 (10 nowy).



PORANEK.

Już zorza poranna powstaje na wschodzie,
Już księżyc się chowa, już słońce się budzi,
A niebo rumiane odbija się w wodzie.
Koguty do pracy wołają już ludzi,

Pastuszek wypędza bydełko na paszę,
Z snu każdy powstaje, do pracy się śpieszy.
A wszędzie wesoło; a każdy się cieszy.
I dzwonek z kościoła już na mszę przyzywa,
By pracy Wszechmochny błogosławił z nieba,
By zawsze przy znoju myśl była pocziwa,
I nigdy nie zbrakło powszedniego chleba.
Po szczerzej modlitwie praca raźniej idzie,
Łatwiej coś zarobić, chwając Stwórcę Boga,
I łatwiej z modlitwą opędzić się biedzie,
Nie dać się rozpaczy choć dola tak sroga.

Niezapominajka z Polesia.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U NIEMNOWEJ FALI.

Wrogowie krzyża.

Późnym wieczorem pięknego lata roku 1312, dwoje dzieci wyrostków siedziało na niemnowem wybrzeżu, właśnie w tém miejscu, gdzie rzeczka Rotniczanka wpada do Niemna, na granicy powiatów grodzieńskiego i trockiego. Chłopiec miał około lat szesnastu, dziewczyna musiała już mieć z piętnaście. W nim właśnie budziła się siła męska, a w niej poważna rozwaga niewieścia. Oboje byli widocznie znużeni pracą, i spoczywali teraz, oddychając wonią kwiatów i ziół pnących się po skałach, słuchając szumu fali niemnowej, i spoglą-

dając na wysoki, mocny i obronny zamek, jakkolwiek drewniany tylko, wznoszący się tuż w pobliżu. Kilka ubogich lepierek, podobnych do gniazd ptasich nieledwie, czepiało się tu i owdzie na okół w pobliżu zamku, jakby tuląc się pod jego opiekę. Na wysokiej wieży snuł się tam i sam cień jakiś, do ducha podobny: to strażnik przechadzał się tam w milczeniu, dając baczność na okolicę, widzialną ztamtąd na mil wiele. Chłopak, siedzący na wybrzeżu niemnowem, patrzył na tego strażnika, który mającżył na wieżycy niewyraźnie wysoko, na tle pogodnego nieba; dziewczyna patrzyła na jedną z najędźniejszych chatek, nawpół ukrytą w ziemi w pobliżu, tak, że i dostrzedzby jej trudno, gdyby słabe błyski łuczyna na kominie nie zdradzały jej istnienia przez drzewiczki uchylone.

— Radbym wiedział, czego on tam tak chodzi i chodzi... — powiedział chłopak po długim milczeniu.

Dziewczyna zerwała się, krzyknawszy:

— Chodzi, a ja nie spostrzegłam! wywrocić się może i rozbić! — i byłaby frunęła ku swjej lepiance, gdyby chłopak nie schwycił jej w sam czas za szaty, mówiąc:

— Gdzie? co?... Alda! ja o strażniku na wieży mówię.

— A ja myślałam, że o naszym dziadzie!...

— E... dziad śpi, przez cały dzień drzemał, samu powiadasz, a teraz dobrze śpi i ja widziałem, a wprzód od nowiu do nowiu ani razu tak nie spał. Kto wie, jeżeli zacnie sypiać, to może mu choroba snem przejdzie, i przecież jeszcze z nami na ziemi jakiś czas pozostanie.

— O! uczyniże tak, mocny Auszlawisie! *) zawołała dziewczyna gorąco. Usiadła napowrót i mówiła po chwili:

— Jeżeli dziadulowi polepszy się na zdrowiu, to widnie prawdę ludzie mówią, jako dobry Auszlawis lubił sobie Druskonie, **) i tutaj mieszka, i wodę tę pić lubi, i lubi walczyć zdrowie chorym ludziom, którzy w tém miłym mu miejscu zamieszkują i wodę z Druskoni piją. Czy to prawda, Alfie?

— Widać, że to prawda.

— Tak, ale tymczasem przywlekliśmy się tu z daleka. i już od nowiu siedzimy, a ja codzień świeżą wodę z Druskoni przynoszę. Dziad ją pije, i jeszcze nie ozdrowiał — westchnęła Alda.

— Skoro śpi tak dobrze, to już ozdrowieje, prześpi chorobę — zapewnił ***) Alf. Ale ten na wieży, czego on tam chodzi tak i chodzi? Gdyby mię nawet przywiązano, nie potrafiłbym tak długo dreptać na miejscu. To dziwna rzecz.

Alda, zajęta przedewszystkiem chorym dziadulem, teraz zniecierpliwiona trochę gawędą brata o rzeczy dla niej objętnej, spojrzała nareszcie w górę ku szczytowi wieży, osrebrzonej blaskiem księżycowym i rzekła, wzruszając ramionami:

— Nie wiem wcale, mój bracie Alfie, co ty w tém widzisz dziwnego. Wszakże najmniejsze dziecko wie, że ten wysoki obronny zamek stoi tu na obronę litewskiej naszej ziemi przeciw krzyżowi i Niemcom tym straszny, o których tyle człowiek się od kolebki nasłucha okropności. Strażnik ten na wieży po to dniem i nocą, zmieniając się z towarzyszami, drepce, aby dać znać natychmiast księciu tutejszemu, gdyby spostrzegł z daleka choć jednego Krzyżaka, to jest takiego Niemca z krzyżem.

Ale na te rozsądne słowa Aldy, wzruszył Alf ramionami jeszcze wyraziściej, niż ona przed chwilą, i rzekł:

— Jakież też to śmieszne istoty są te dziewczęta, przeto, że jak owad jaki zadawałniają się brzękiem słów własnych, w nic głębiej nie wglądając i sądząc, że wszystko wiedzą: toż ja to wiem, co ty powiadasz, moja Aldo, i aż dziwię się, że ty, taka rozumna dziewczyna, nie inaczej patrzysz na rzeczy, jak inne dziewczęta. Zdaje ci się, że już wszystko wyjaśniłaś, iż ten strażnik wypatruje Niemców z krzyżem, a powiedzże,

czy ty wiesz, jak wygląda Niemiec z krzyżem?... A widzisz, że nie wiesz! i strażnik tutejszy nie wie także, ponieważ nie gdyżaden Krzyżak, to jest człowiek z krzyżem, nie przedarł się jeszcze dotąd do tej ziemi, choć pełno ich ma być po innych sąsiednich. Tedy jakże go poznać, kiedy się go nigdy nie widziało? powiedz!...

Alda po namysle głębokim przyznała bratu słusność, gdyż istotnie nie miała wyobrażenia, jakby Krzyżak miał wyglądać.

— Ten krzyż, to musi być okropna rzecz — mówiła — kiedy ludzie z krzyżem są tak źli: Człowiek z krzyżem, wiesz, może to w niemieckiej mowie znaczy taki człowiek, jak nasz stary Asper? Może u nich dużo takich ludzi? a wszak tacy są chytry, to pewno tacy!

Ale młody Alf odpowiedział, wstrząsając głową:

— Nie; stary Asper jest człowiek krzywy i ułomny; bardzo jest chytry, to prawda, ale człowiek z krzyżem, musi to być coś innego, bo nasz Burtynikas, który to włóczy się wszędzie, śpiewając i wróżąc, opowiadał mi o ludziach z krzyżem, którzy też zwą się Krzyżakami, że są to dużego wzrostu mężowie prawie wszyscy, straszni, okropni, poczwarni, dziejący się bardzo silni, i cali odziani w żelazo, tak jako i słowiańscy rycerze czasem bywają. A otóż Asper, jak sama widzisz, inny jest wcale, i mały, i słaby, tedy to być musi co innego.

Alf opisywał Krzyżaków tak, jak widziała ich fantazyja ludu, nękaną straszliewi ich napaściami, których po pozorom, ale pozorom jedynie, było rozszerzanie chrześcijaństwa i ich wiary. Celem ich rzeczywistym była chciwość, zdobycie ziem, władzy i złota. Dlatego też, w skutek takiej chciwości, potężny ten zakon upadł z czasem, jak to mu przepowiedziała królowa polska Jadwiga w swoim czasie, prawdy i duchem proroczym.

Alf mówił, a Alda słuchała, ciągle patrząc przytém bacznie na owe zarzewie, iskrzące się na tronie w ubogiej chatce przez drzwi otwarte; gdyby chory dziad ruszył się z łóżka, Alda byłaby to natychmiast poznała po cieniu od zarysów, bo chatka była bliźniutko. Alda nieodstępna bywała od starego dziada, który dopuszczeniem Bożem niedomaga od kilku lat, aż wróżki, baby, i burtynikasy, zużywszy naprzeciw swą umiejętność, doradzili mu, żeby pojechał do Druskoni, i pić wodę ze źródła tamecznych i z jeziora, kędem mieszkać lubił Auszlawis. Ale czuwała pilnie nad dziadem jak matki nad choremi dziećmi czuwają, a to dla tego, że zrozumiała raz z jego z burtynikami rozmowy, iż znużony chorobą i smutnem życiem, miał on zamiar zakończyć swoje życie, upiwszy się odwarem świętych ziół i podpaliwszy łożo, w którym leżał, aby nie być ciężarem niepotrzebnym dla świata. Takie zakończenie życia dość zwyczajnem bywało u starych Litwinów pogańskich, i religia ich pozwalała na to, równaj na poświęcenie małych dzieci ułomnych lub chorych, nie biecujących z znacznych sił do życia. Zasadą takich zwyczajów było przekonanie, że człowiek, niemogący zapracować na życie, nie powinien go używać.

Alda, jak bardzo wiele zresztą jej współrodaczek, nie chciała być o takim zwyczaju, i dniem i nocą pilnowała dziada, nie dając go od poddania się ponurym myślom. Gdy starzec zaczął tłumaczyć jej, że dziecinna jest i śmieszna odwodząca ją od starożytnego obyczaju, ona odpowiadała, że nie pozwoliła na to, ponieważ i on nie pozwolił jej zmarnieć ani utopić się, gdy została przed laty sierotką, dziecięcą niedołężną i słabą na jego opiekę:

— Nie pozwolił dziad mnie zmarnieć, nie pozwolił i zmarnieć sama! — mówiła płacząc Alda, i tak prosiła, i tak pracowała, odczekując, że dziad z żalu nad jej żałością przestanie myśleć o śmierci, a leczyć się zaczął tępem usilniem i nareszcie przywodził ją wraz z wnuczką do słynnych, darzących zdrowiem Druskoni i pijąc wodę cudowną zaczynał w istocie powracać do zdrowia. Alf, brat Aldy, nie bardzo się rozczulił i nie płakał nad dziadem, jak ona, ale jak to nieraz z chłopcami bywa, — i czynem dowodził, że czuł tak samo, jak siostra. Ojciec imi biedne sierotki, pożyczszy wozu i konia od sąsiadów, — powiekił się z dziadem do Druskoni, gdzie Alda

*) Auszlawis, bóg zdrowia i choroby u pogan Litwinów.

**) Druska po litewsku sól, ztąd nazwa jeziora Druskonie, ponieważ wody jego są słone.

***) Takie jest do dzisiaj przekonanie ludowe.

pielegnowała dziada i jeść gotowała Alfowi, gdy on zajmował się do różnej roboty w zamku i w okolicy.

Teraz po dniu ciężkiej pracy wypoczywali oboje na niemnówem wybrzeżu. Alf opowiadał, co słyszał o ludziach z krzyżem, Alda słuchała, gdy wtém poczuła, że ujęto ją z lekka za ramię, i odwróciła głowę, nie przestraszona wcale. Za dwójgiem dzieci stał człowiek mały i zaledwo widzialny w cieniach wieczornych, tak przylepił się niejako do skały, u stóp której dzieci siedziały.

— Śliczna dziewczeczko — rzekł nieznajomy słabym głosem, tak, że go ledwo słysząc było — powiedz mi, czy ten zamek i tamto jeziorko błyszczące, to są Druskieniki i Druskonie owe sławnie? Czy to ten zamek broni Litwę naszą od Niemców tak, że się tu dotąd zająrzeć nie ośmielili ze strachu? a to jeziorko broni ludzi od śmierci, mocą dobrego Auszlawisa? bo ja z daleka do tutejszych źródeł i do jeziorka przychodzę po zdrowie, a nie wiem, czy dobrze trafiłem?...

— Tak, dobry człowieku — odpowiedziała Alda — jesteś w Druskienikach, kędy nigdy źli Niemcy nie byli, chociaż słyszymy, jakie bezprawia popełniają ztąd niedaleko. Możesz tu spokojnie czerpać zdrowie ze źródełek, tak jak ja dla mego dziada je czerpię, bo Niemcy boją się wysokiego zamku.

Gdy Alda mówiła, Alf, siedzący przy niej, ale trochę dalej od nieznajomego przybysza, przechylił się, nie wstając z miejsca, tylko szyję wyciągając ku nieznajomemu, aby widzieć z kim Alda rozmawia? Gość w tejże chwili także wyciągnął przed się obie ręce i zwrócone ku niemu szyje dwójga dzieci zostały tak nagle ściśnięte, jakby żelaznymi kleszczami, że żadne nie zdołało nawet krzyknąć. Alf, silny chłopak, szamotał się przecież przez krótką chwilę, lecz Alda od razu straciła przytomność, zarówno ze zduszenia jak ze strachu. Ów słaby na pozór człezyna nieznajomy, był niepospolitym siłaczem podobno. Ścisnąwszy każdą ręką jedno z dwójga wyrostków, unosił ich chyżo, niby jastrząb, unoszący zdobycz. Ze ciała ich kaleczyły się przytém okrutnie o skały, na to nie zważał on wcale, lecz gdy tylko Alda przestała się ruszać, natychmiast w jednym mgnieniu oka złożywszy ją na ziemi, puścił jej gardło a chwycił ją za pas, i biegał znów dalej. Po chwili zrobił to samo i z Alfem, gdy i ten omdlał: widocznie obcy człowiek nie chciał zadusić ich na śmierć.

Po dosyć długim takim biegu w dół Niemna, dostał się ów człowiek do miejsca, w którym rzeka ściśnięta pomiędzy brzegami była daleko węższą niż dzisiaj. Tam w załomku wybrzeża stała maleńka łódka. Człowiek ów wszedł do niej i złożył obok siebie dwoje dzieci, przekonawszy się wprzód starannie, że krzyczeć nie będą. Potém odwiązał łódkę od ściany na wybrzeżu drzewiny i silnie szarpał po trzykroć za inny sznur, uwiązany do łódki. Na ten znak zaraz sznur ten wyprężył się i zaczął cicho, bez szelestu, ciągnąć łódkę do przeciwnego brzegu Niemna. Dostawszy się tam w ten ostrożny sposób, aby się pluskiem wioseł nie zdradzić, obcy człowiek wyszedł z łódki, wyciągnął z niej zemdlone dzieci i rzekł z cicha a po niemiecku do jednego z czterech ludzi, ciągnących łódkę:

— Na, masz! ja biorę drugie, i dalej biegiem do naszych, bo lękam się, czy nie za bardzo przydusiłem to psiarstwo, aby nie skomliło za głośno, a jeżeli się nie da ocucić, to cała moja praca na nic. Z temi słowy rzucił Alfa na ręce towarzysza, a sam przerzucił sobie Aldę przez ramię i oba pędem, jak dwa bieguny, puścili się w dół rzeki. Nie biegli jednakże wybrzeżem, lecz dalej cokolwiek, korzystając z każdego zarostu i urwisk, aby w ich cieniu biedz niewidzialni. Ale dopiero w parę godzin takiego biegu ujrzeli na rozległej łące coś naksztalt olbrzymiego mrowiska, poruszającego się cicho w cieniach nocy.

— Wer du? ... — mruknął jakiś czarny cień, niespodzianie zjawił się przy drzewie, jakby z pod ziemi wyrosł.

— Posłaniec Henryka! — odpowiedzieli bieguny umówionem hasłem, i podobnie odpowiedziawszy drugiemu i trzeciemu strażu, wprowadzeni zostali do niedużego namiotu, gdzie siedmiu rycerzy w czarnych zbrojach i białych płaszczach,

z czarnymi na nich wyszytymi z boku krzyżami, siedziało przy bogato zastawionym stole. Człowiek niosący Aldę odebrał Alfa od swego towarzysza i kładąc oboje u nóg jednego z rycerzy, rzekł:

— Oto są języki! wielebny wielki komturze!

— I ty ich sam zdobyłeś, Hałmsie? i to z pobliza Saltzeniken *) tego Druskoni? — zawołał wielki komtur krzyżacki, Henryk Plotzke.

— Tak! z pod stóp wysokiego zamku, z nad wybrzeży jeziora Druskoni. Wypiewają wszystko, co trzeba, bo muszą wszystko wiedzieć! — dumą w głosie, ale z uniżonym ukłonem odpowiedział Halms, jeden z najniższych stopniem braci zakonnych krzyżackich, przebrany w tej chwili w litewskie sukmany chłopskie, w sprawie zakonu.

— Ha! a więc, na moje cześć przyrzekam ci, bracie, że jak pierwszy z nas stąpiłeś na szmat tej niedostępną nam dotąd ziemi pogańskiej, tak pierwszy ty na gruzach tego pogańskiego zamczyska otrzymasz chrzest rycerski! — zawołał wielki komtur, a Halms, młody i dzielny, acz nędznej powierzchowności Krzyżak, przykląkł przed swym zwierzchnikiem, dziękując za obiecany zaszczyt, jeden z najwyższych, do jakiego dążyli młodzi owoczesni rycerze. Wielki komtur przyjął hołd łaskawie, wołając równocześnie:

— Hej! dalej zatem! trzeba tych dwoje pogan przyprowadzić najprzód do rozumu, a potem wypytać, ile tam załogi obecnie jest w zamku? i czy poganin, książe ich tamtejszy, jest obecny? Jak daleko najbliższa dlań pomoc znajdować się może? bo jeżeli mamy zamek zdobyć, to dziś o wschodzie słońca stać się to musi, zanim najmniejsza wieść o naszym zbliżeniu dojdzie do pogan Litwinów, do wrogów krzyża!

Na te słowa Henryka Plotzke, rozpoczęła się wstrętna, lecz pospolita bardzo w owych wiekach i w podobnych okolicznościach scena: Alda i Alf oddawna dawali już znaki życia, acz słabe: szybka i niewygodna podróż na ramieniu pędzących Krzyżaków rozbudziła ich z omdlenia. Teraz weszło kilku pacholków, sprawnych w podobnych rzeczach i ocuciwszy ich zupełnie, przygotowali się do bicia ich i zadawania im różnych podobnych męczarni, dla zmuszenia do szczerzej odpowiedzi na pytania W. Komtury, których celem było wywieść się dokładnie różnych okoliczności, dotyczących Druskienickiego zamku, aby umiejętnie nań napaść z nienacka.

Przygotowania te okazały się jednak zupełnie niepotrzebne i dwoje biednych, prostych pastuszków, zmordowanych okrutnem przyduszeniem, ani myślało tać cokolwiek z tego, co im było wiadomem, bo najprzód nie rozumieli dobrze, o co chodzi, a potem przyzwyczajeni byli do szczerych odpowiedzi na wszelkie zapytania, jakie diad lub znajomi zadawali im kiedykolwiek. Dopiero po długiej chwili tych badań, w których Halms służył za tłumacza, Alf krzyknął na siostrę:

— Nie mów! bo to pewno ludzie z krzyżem nas pytają, aby wdrzeć się w litewską ziemię!...

Ale już ta ostrożność próżną była. Krzyżacy wiedzieli, co im było potrzebnem. Wrzucono dwoje młodziutkich biedaków związanych w wóz skórami nakryty i zapomniano o nich, przewożąc ich z miejsca na miejsce z całym taborem. Słyszeli wrzawę okrutną. Związane ręce i nogi bolały ich okropnie, jęczeli z cicha, przypisując krzyżowi wszystkie swe cierpienia, potém głód i pragnienie zaczęły im dokuczać. Za całą pociechę mieli to, że mogli rozmawiać z sobą, choć i to mało ich pocieszało, bo im dłużej rozmyślali i rozmawiali, tém lepiej pojmovali, że ich wyznania w obec zadawanych im pytań, dopomogły do czegoś złego owym obcym ludziom.

Po całej wieczności mąk, głodu i pragnienia, jak sądzili, a rzeczywiście we dwadzieścia cztery godziny później, zapomniano sobie o nich. Nie Halms, ich porywca, ale ktoś inny, odsunął skórzane nakrycie, rozwiązał im ręce, dał jeść i pić. Wtedy spojrzeli oni na okół, zgroza ich zdjęła i żal: znajdowali się wraz z całym taborem krzyżackim na niemnówem, dobrze im znanem wybrzeżu, na wprost chateczki dzia-

*) Saltzeniken, tak Krzyżacy nazywali Druskieniki.

da i Druskienickiego zamku, znajdującego się na przeciwnym brzegu, ale zamek ten leżał już w gruzach, a na jego zgłiszczach, wśród koła niemieckiego rycerstwa, klęczało trzech rycerzy, z których jednym był Halms, W. Komtur Henryk Plotzke właśnie uderzał gołym mieczem z lekka w ramię jego, mówiąc:

— Oto za zasługi twoje, krzyżowi oddane, czynię cię rycerzem! — i W. Komtur pocałował w twarz nowego rycerza, a okrzyk radosny zwycięskiego rycerstwa odpowiedział na jego wyrazy.

Alfowi dziwnie zaciemniło się w oczach w tej chwili. Dziwne uczucie zapełniło mu serce, było to uczucie: Zazdrości! Alf zapragnął tak samo zostać pasowanym na rycerza, bo o tym obrzędzie u Niemców słyszał od dawna i wiedział, że spotyka on tylko walecznych. Alf odurzony nowymi dla niego wrażeniami, omdlał na nowo, gdy odszedł człowiek, który przyniósł żywność.

Ale Alda wcale innych doznawała wrażeń. Było to młodziutkie dziewczątko nie daleko widzące. Spostrzegłszy, że Alf po posiłku opadł na dno wozu, sądziła, że zasnął, a zatem widząc go sytym, pomyślała o starym, bezsilnym dziadku, który był zapewne głodnym bez swojej małej opiekunki i widząc ogólne zajęcie strażników owym chrztem rycerskim, który bywał jedną z najwspanialszych uroczystości rycerskich, Alda, myśląc tylko o dziadku, zsunęła z nóg pęta swobodnymi rękami i zsunawszy się sama z wozu, podlaźła cicho pod stojące obok inne wozy i skierowała się w stronę pobliskich zarośli. W chwilę już się tam schroniła, a potem, nie czekając ani chwili, przedarła się przez nie i w innym odleglejszym miejscu dotarłszy do Niemna, przeprawiła się odważnie znajomym brodem, mając wody po szyję. Musiała użyć wszystkich sił, aby oprzeć się pędowi fali, ale w kilka chwil później była już przy jęczącym dziadzie, którego nędzne schronienie dla tego właśnie uszło okrucieństwu Krzyżaków, że zapadłe w głąb ziemi, mało było widoczne i nie obiecywało wcale ponętnego łupu.

W jedną dobę później, „ludzie z krzyżem” za jakich uznali ich teraz Alda, ponieważ byli okrutni, znikli z niemnowych wybrzeży, po wspaniałej na zgłiszczach Druskienickich uczcie, „zdobyszy prócz Druskienik dwa iune zamki i w pień wyciąwszy ludzi zbrojnych, siedmuset niewolnika z sobą wprowadzili”. Był to pierwszy w owej okolicy najazd krzyżacki, powtarzający się odąd dość często, bo „zdaje się, że Druskieniki były ważnym punktem wojennym dla Krzyżaków, którzy tu często się przeprowadzali na prawy brzeg Niemna, obracając swe pochody ku Trokom.

Podczas tych wszystkich zbrojnych przepraw, Alda z uzdrowionym już dziadem pozostawała ciągle w ubogiej swjej lepiance. Żywiła go wodą z Druskoni i trochę żywności, jaką dawali jej za ciężką pracę, tak rycerze nieprzyjacielscy, jak i okoliczni mieszkańcy; nosiła im ona wodę z Druskoni i gałęzie z pobliskich krzaków, prała szaty i sporządzała je. Myślała zawsze o Alfie, o którym słuch zaginął.

Nikt nie zwracał uwagi na biedną dziewczyninę, zapracowaną, podobną z pozoru do stariej żebraczki, gdy w mrozy odziała się w setne łachmanki, jakie chronić ją mogły od zimna. Tymczasem biegły lata, długie lata, biegły chyżo, jak to się zawsze zdarza, w życiu jednakim, dziaduś zdrów był, choć postarzał się bardzo, Alda przestała od dawna być młodą. Pomimo, że okolica była teraz ciągle wystawioną na krzyżackie napaści, Alda zamieszkiwała ją ciągle wraz z dziadem dla tej prostej przyczyny, że biedactwo nie wiedziało, gdzie się podziąć. Pewnej nocy pożar straszliwy ledwo podrosłych zarośli zwiastował nowe najście nieprzyjaciół. Było to suche lato, więc trawy i zielska zajęły się okrutnie i wkrótce ogień objął nawet nędzną lepiankę Aldy, a wraz z nim prawie objął ją gwar wojenny. Na ten raz próżno Alda błagała dziada, aby się ratował.

— Daj mi spokój — odpowiedział z goryczą — za długo już patrzę na nieszczęście ziemi mojej, nękanęj przez ludzi z krzyżem, pozwól mi skończyć raz to ciężkie życie obyczajem naszym starym...

— A więc ginmy razem — powiedziała zrozpaczona Alda,

i siadłszy u nóg starca, patrzyła drżąc, lecz nie ruszając się z miejsca na żółte płomienie, ogarniające chatę z mchów suchych ukleconą.

— Rątajcie się, ludzie! — krzyknął nagle Krzyżak, pojawiający się w progu:

— Idź precz, człowieku z krzyżem! wolimy sto razy umrzeć, niż żyć wśród ludzi takich, jak ty! — odpowiedział starzec i położył się na łożu, którego suche mchy i pościel już płonąć zaczynały. Krzyżak nic nie rzekł, tylko skoczył i porwawszy starca na ręce, uniósł go z chaty, a Alda biegła za nim, przerażona bardziej tym ratunkiem, niż samym pożarem. W chwilę później oboje bezpieczni byli w namiocie Krzyżaka, a on wybiegł znów ku ratowaniu innych ofiar wojny. Spora gromadka biednych Litwinów zgromadzoną została w ten sposób w namiocie litościwego rycerza, który niby biorąc ich w niewolę, nakarmił, napoił, i wśród głębokiej nocy następnie uchylił im ścianę płócienną namiotu, mówiąc:

— Uchodźcie teraz tedy, poczciwi ludzie, bo wy wśród znajomych wam lasów znajdziecie łatwo schronienie, a ja nie mogę nic więcej dla was uczynić:

— Alf! mój Alf! — krzyknęła Alda, rzucając się do nóg litościwego rycerza. A on położył rękę na jej czole, błogosławiąc ją, i rzekł:

— Tak, jestem twój brat Alf nieg dyś, a dziś chrześcijański kapłan; czy chcecie zostać chrześcijanami i ze mną zostać?

— Uchodźmy! uchodźmy prędzej, nie znam cię — zawołał stary Litwin dziad, odpychając wnuka chrześcijanina a wnuczkę pociągając z sobą w lasy.

Rycerz popatrzył smutno na nimi, mówiąc:

— Idźcie, ale pamiętajcie i ziomkom powiedzcie, że krzyż zgodę ludziom przynosi i miłość i nic nie jest winien złym czynom popełnianym pod jego hasłem.

Uszedłszy w lasy bezpieczne, Alda rozmyślała ciągle o bracie i jego słowach. Stary dziad umarł z czasem, a ona rozmyślając o bóstwach i o Bogu jedynym chrześcijańskim, zapragnęła go poznać nareszcie, i w roku 1378, w czasie nowej w owe okolice wycieczki Krzyżaków pod Teodorykiem Elnerem komturem Balgi, przysłała do obozu Krzyżaków zgrzybiałą już staruszką, żądając chrztu i o kapłana Alfa pytając. Świątobliwy Alf ochrzcił siostrę Aldę, a ona, skłeciwszy sobie nową lepiankę na miejscu dawniej w dzisiejszych Druskienikach, mieszkała w niej do śmierci, nauczając sąsiadów, że krzyż źródło zgody i miłości, nie jest nic winien bezprawiom, jakie popełniają nieraz pod jego hasłem.

GÓRAŁKA.

W górach zupełnie inaczej prowadzą gospodarstwo jak na nizinie. Zwykle w Maju lub Czerwcu wypędzają wszelkie bydło, a szczególnie krowy, owce i kozy na żyzne łąki, halami zwane. Górale i góralki w urządzonych stosownie schroniskach pilnują dobytku przez całe lato, wracając dopiero w jesieni do mieszkań zimowych. Lecz nie wszyscy idą na hale, część rodziny pozostaje w chacie zimowej, niepodobna ażeby przez cztery lub pięć miesięcy nie dowiedzieć się co się tam dzieje w chacie, nie zobaczyć rodziców lub rodzeństwa, nie przynieść zapasów żywności. Dla ułatwienia więc komunikacyi, dzieci góralskie, tak dziewczęta jak chłopcy, przyzwyczajone do jeżdżenia wierzchem na osiołku lub mule codzień a czasem parę razy dziennie tę podróż odbywają. Rano zwykle młódz góralska niezdolna jeszcze do trudniejszej pracy, napełnia mlekiem płaskie naczynia, a przytwardziwszy je po obu bokach swego wierzchowca, wiezie w doliny lub do miasteczka, na sprzedaż. Obecna rycina przedstawia góralkę, która zabrawszy rozmaite przedmioty w kosze i umieściwszy w nim nieodstępny parasol, jedzie, aby ucieszyć się widokiem swoich ukochanych i opowiedzieć im szczegóły odtąd tej podróży.



Góralka.

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

— Nic nie szkodzi, wyjm tutaj słomę przy mnie! — a kiedy dziewczyna znów jakiegoś wykrętu szukała, panna Hono-

rata zawołała groźnie. — Tak to się boisz, bo masz nieczyste sumienie! A to co? — i przesunęła jej przed oczami złocistą książeczkę. — Poczekajno! dostaniesz za swoje!

Ale Dorka przypadła do rąk panny Honoraty, błagając, żeby się zlitowała, żeby ten jeden raz darowała winną.

— Moja panno — powtarzała — już ja do niej żalu nie mam żadnego, zmiłuj się, już ona tego nie zrobi!

— Jakaż z ciebie głupia dziewczyna — zawołała Melcia,

stając we drzwiach — jeszcze prosisz za tą, która ci takiego wypłatała psikusa!

Ale Dosia, na nic nie zważając, broniła Salki i tyle dokażała, całując po rękach pannę Honoratę, że kara odłożoną została. Potem jeszcze wsunęła po cichu zostawioną bez śniadania dziewczynie połowę jakiegoś placuszka, który sama była otrzymała od panny Pichon. Salka nic nie mówiła, schyliwszy się tylko w milczeniu chwyciła i ucałowała rękę dobrego dziewczęcia, co się nad nią tak po chrześcijańsku litowała. Wieczorem, gdy Dosia uprzątała w pokoiku Melci, ta się do niej ozwała:

— Powiedz mi, dlaczego broniłaś tej niepozyciwiej Salki dziś rano; wiesz przecie, że ona cię niecierpi, zawsze przedemną na ciebie wygaduje, a teraz chciała, żeby cię za kradzież wypędzono. Czyś ty taka niemądra, że tego nie rozumiesz?

— Nie, panienko, ale...

— Cóż ale? mów!

— Nie potrafię tego dobrze powiedzieć, ale mnie się zdaje, że... że kiedy ksiądz proboszcz w kościele mówił, żeby dobrem za złe oddawać, to my powinniśmy tak robić. Pan Jezus tak pięknie uczył o tém, ale ja tych słów powtórzyć nie potrafię; pomyślałam sobie tylko, że będę się starała tak uczynić kiedyś. Zresztą mnie żal Salki: ona nie miała dobrej matki, coby ją nauczyła poczciwości... może dla tego taką złą bywa i nikt jej nie lubi na świecie, więc i ona twarde ma serce.

Melcia nic nie odpowiedziała, widocznie jednak słowa prostej ale zacnej dziewczynki zastanowiły tę bezmyślną i popsutą panienkę: siedząc właśnie przed zwierciadłem, zobaczyła w nim odbicie twarzyczki Dosi, a smutne, wyraziste oczy dziewczęcia dziwne jakieś sprawiły na nią wrażenie. Po chwili schyliła się dziewczynka po dzbanek na wodę i wyszła z nim, ale gdy powróciła, Melcia zbliżyła się szybko do niej.

— Dosiu — rzekła — przykro mi, żem ciebie niesłusznie posądziła; zapomnij o tém, proszę.

Dorotka ucałowała z wdzięcznością rękę panienki za dobre słowo, które tak rzadko od niej komukolwiek się dostawało, a Melcia? Melcia musiała zapomnieć o doznaném wrażeniu, bo nazajutrz po dawnemu dokuczała swojej małej służącej.

Nowa jednak pociecha gotowała się dla sieroty; w parę dni po wypadku z książeczką zawołała ją panna Honorata, żeby poszła na górę do panny Michaliny, która życzy sobie wziąć ją do posługi. Panna Michalina była to siostra samego pana, kaleka od lat wielu, że zupełnie chodzić nie mogła; czasem tylko w dni pogodne wywożono ją w fotelu na werandę, gdzie oddychała świeżem powietrzem. Zasłyszawszy od Honoraty coś o przygotowaniach i postępowaniu Dosi, zaprzagnęła sprowadzić ją do siebie na miejsce Józki, która teraz właśnie dużo miała do szycia. Dosia ze wzruszeniem wchodziła do pokoju chorej pani, którą dotąd zaledwie parę razy widziała i cichutko drzwi otworzyła.

W dużym, jasnym pokoju, wysłanym dywanem, siedziała na miękkim fotelu szczupła bardzo o bladej twarzy osoba, z włosami gładko uczesanymi pod biały cepezeczek, delikatnie wygarniowane. Błękitne jej oczy smutno ale łagodnie patrzyły i uśmiechnęła się na widok wchodzącej nieśmiało dziewczynki.

— Chodź tu, moje dziecko — ozwała się cichym głosem — powiedz mi, czy ci nie będzie nudno posługiwać chorą, która sobie sama nic zrobić nie może? — spojrzała na białe, wychudłe i dziwnie jakoś pokrzywione ręce.

— Ach nie, pani — odrzekła dziewczynka — bylebym tylko pani dogodzić potrafiła; ja tak długo pielegnowałam chorą matkę, że się przyzwyczaiłam trochę do takiej posługi.

— To dobrze, dziecko moje; lubię mieć przy sobie pocziwe i chętne dziewczę, a słyszałam, że ty taką jesteś.

Dorotka ucałowała biedną, wychudłą rączkę swojej nowej pani, która drugą położyła na głowie sieroty, i serce jej od razu przylgnęło do słabej a tak słodkiej istoty, o której też mówiono, że była dobrą jak anioł. Odtąd Dosia długie spędzała godziny w pokoju chorej, która w zimie mocniej cier-

piała na różne bóle w kościach; później nawet sienniczek swój przeniosła tam i sypiała w małym alkierzyku, żeby być gotową na każde wezwanie panny Michaliny. Nieraz w nocy musiała wstać i smarować zbolełe członki, albo zagrzewać napój jaki, a czyniła to tak zręcznie i chętnie, że chora codzień więcej się do niej przywiązywała. Wreszcie gdy brat przyszedł jej składać życzenia na Wigilią, prosiła, by jej Dorotkę na gwiazdkę dano, na co się pan Malicki zgodził z uśmiechem. Było wprawdzie trochę kwasów z tego powodu, bo Melcia i Panna Pichon niechętnie się pozbywały zręcznej pokojówki, ale pan sam, który kochał biedną siostrę swoją i pragnął dogodzić każdemu jej życzeniu, obstał przy swoim i Dosia przeniosła się zupełnie do panny Michaliny.

Pomimo uciążliwych nieraz stawiań i niewczasów, cieszyła się tém dziewczynka, szczerze przywiązana do swjej opiekunki, która się nią po macierzyńsku zajmowała. Sama ją posyłała codziennie do braciszka, a czasem nawet przyprowadzać go do siebie kazała. Spostrzegłszy w Dosi bystre pojęcie, ciekawość i chęć do nauki, codziennie z nią czytała i opowiadała rozmaite rzeczy, które rozjaśniały umysł i kształciły serce dziewczynki. Patrząc na swą opiekunkę, która z poddaniem się woli Bożej znosiła kalectwo i cierpienie swoje, nigdy nie wyrzekając na nic, Dosia stawiała się coraz pobożniejszą. Przypomniawszy sobie rozmaitych ciekawych rzeczy o ludziach i świecie, myślała, zastanawiała się i zadawała dobre swjej pani coraz nowe pytania, które dowodziły, jak w jej młodej duszyczce budziły się pojęcia nieznane dotąd. Wkrótce sama już czytać mogła i w dni świąteczne każdą chwilę wolną obracała na korzystanie z tego, albo Stefankowi opowiadała to, co znów jęgo zająć mogło.

Wiejska dziewczeczka zmieniała się do niepoznania: tak jak jej mowa stała się czystą i poprawną, tak i twarzyczka przybrała wyraz inny, oczy nawet zdawały się patrzeć daleko w szersze światy. Ale mimo tego Dosia była zawsze czynną i pracowitą; usłyszawszy kiedyś jak pani Malicka wyrzucała siostrze, że rozbałamucą dziewczynę niepotrzebnymi wiadomościami, starała się dowieść, że nauka jej nie odbiera chęci do spełniania obowiązków. Na wszystko jej czasu starczyło, biegła nawet sprzątać u panny Pichon, która sobie rady bez niej dać nie mogła. Robót uczyła ją w popołudniowych godzinach panna Honorata i wtedy Dosia starała się zbliżyć do Salki, na którą też ona jedna upłynąć wmiała; od owjej przygody z książką, uparta i złośliwa dla wszystkich dziewczyn pokochała ją gorąco i starała się okazywać to po swojemu.

W owym czasie jakoś dostąpił i Stefanek zaszczytu, którym jednak siostra bynajmniej się nie ucieszyła: oto brano go do „pałacu” dla zabawy z paniczem. Smutne to były zabawy: rozkapryszony i psotny panicz potrzebował na kimś spędzać ochotę do figlów i wrodzoną złośliwość; do tego właśnie miał mu służyć Stefanek. Czasem zaprzęgany za koniką, otrzymywał takie razy szpicrutą, że aż płakał z bólu, a gdy próbował się bronić, powtarzano mu, że ma słuchać i milczeć; to znów wyciągano go na rozmowy, z których się później wszyscy naśmiewali, a chłopczyk, choć mały, rozumiał to dobrze. Jużto ani Melcia, ani brat jej nie mieli żadnej względności dla podwładnych, których uważali jakby za niewolników, stworzonych po to tylko, aby im służyli do wygody lub rozrywki; cudzoziemka, która sama uważała obcy sobie lud jako „des sauvages”, nie mogła wpłynąć korzystnie na swych wychowawców, dobry ojciec nie zajmował się nimi, a matka? Matka uważała, że Melci i Mundziowi wszyscy ulegać powinni, bo to są dzieci, jak drugich na świecie niema.

Służący nie cierpieli panicza zwłaszcza, bo on każdemu umiał bolesnego wypłatać figla: tych obdarzał papierosami z prochem, który im poosmalał twarz, innym do jedzenia wsyłał jakiegoś aptecznego proszku, czasem wrzucił mysz do barszczu komuś ze służby, albo kamieniem piekielnym wymalował co na twarzy, tak, że przez kilka tygodni zmyć się nie dawało; nawet pannie Honoracie wpuścił żabę do kapelusza, tak, iż się ledwie nie przewróciła ze strachu otworzywszy pudełko; albo pannie Pichon na pięknych papierach listowych powybił rogatki. Wszystko to uważane było

a nieocenione dowcipy lubego chłopczyzny, który nigdy się nie targał nagrodzić wyrządzoną przez siebie szkody lub przyrości.

Razu jednego Dosia, zbiegłszy z góry, zastała straszną cenę gdy jej ukochany Stefanek dostawał różgi za to, że na ozkaz panicza przewracając koziołka na posadźce, zaczepił jakiś stolik z lampą; Mundzia widocznie bawiła ta scena, której był obecnym w kredensie, ale Dosia, nie mogąc obrobić brata, zalana łzami wróciła do panny Michaliny, a ta się jej zaczęła wypytywać, o co rzecz idzie. Zaczynała pani bolała serdecznie nad wychowaniem bratanków swoich, na których, niestety, wpływać nie mogła i Mundzio nie pokazywał jej prawie u ciotki i Melanka rzadko tam zaglądała, bojąc się, jak mówiła, pokrzywionych rąk cioci Misi.

— Zresztą — mówiła — ciocia chce, żeby wszyscy byli niołami, a to niepodobna! Ciocia nie lubi, żebym w lustro atrzała; gdybym była starą i brzydką, tobym pewno nie rzypatrywała się sobie, ale taką przecież nie jestem! — muskała swoje czuprynkę przed zwierciadłem, co, prawdę owiedziawszy, niemało jej czasu zabierało codziennie. Za to rakało go codziennie na wyuczenie się lekcyj. Po co to wszystko? — powtarzała rezolutna Melcia: — nie potrzebuję przecież z gośćmi rozmawiać o historii lub geografii; listów isywać nie będę, a jak się mówiąc pomylę, to nikt tego pewno nie zauważy. Ciekawam po co mi gramatyka? Czy napiszę *s* czy *x*, czy *rz* to przecie się świat do góry nogami nie przewróci.

(D. c. n.)

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

— Ależ stanowczo my jesteśmy w towarzystwie prawdziwych rozbójników! — zawołał Karol oburzony.

— A ty sądziłeś, że Komanczowie nie są rozbójnikami? — spytał go Tomasz.

— Czyliż będziemy tak rabować wszystkie osady, jakie potkamy?

— Prawdopodobnie.

— Gdyby mieszkańcy tych chat nie byli uciekli, czyliby co groziło?

— Oczywiście.

— I my wtedy patrzylibyśmy z zimną krwią na tę rotnę?

— A cóżbyś chciał zrobić? może walczyć przeciw dwustom dziom uzbrojonym?

— Nie, ale prosiłbym Otumpey bardziej jeszcze Nilki...

— Daj Boże, abyśmy ich prosić nie potrzebowali.

Nareszcie zaczęto przebywać góry, koło których dotąd jeżano; przebywano je w miejscu zwanem „przejście Zunisu” zniżonych skałach Sierra Madré. Ważna ta gałąź Korljerów stanowi niejako grzbiet wielkich pustyń, które przeziela na dwie części. Rzeki, spływające ze wschodniego stopa tych gór, płyną do Atlantyku, a z zachodniego, do oceanu pokojnego.

Po dwóch dniach podróży zatrzymano się na równinie. o przebyciu jej ujrano przed sobą starożytną pustynię Cipla, w której to znajdować się miało słynne Eldorado. Na prawo leży Arizona nad brzegiem rio Colorady; dalej rozciągał się wzgórzysty kraj Utah i równiny Newady.

W ogóle krainy te, jak i wprzód przebyte, nigdy jeszcze e były przedtem dotknięte stopą Europejczyka. W tych asach nikomu się jeszcze nie udało dotrzeć tą drogą do wyreży oceanu Spokojnego. Jednakże Tomasz zrobił uwagę, e zająć tam niczem jeszcze nie było; trudniej daleko: porócić.

Karol nie słyszał co mówiono, gdyż przypomniał sobie przedmieście św. Jakuba i zdumiewał się nad jego oddaleniem.

XVI.

Mieszkańcy skał.

W dwa dni po wyjściu z gór Sierra Madré, pustynia jałowa otoczyła wędrowców. Grunt piaszczysty wydawał tylko dziwne kaktusy w kształcie świeczników i inne rośliny pustyniowe. Potem ujrano długi mur z głazów potężnych utworzony, a za nim, szczątki ze dwudziestu domów. Nie były to przecież nowożytnie budowy, lecz ruiny, o których wspominała starzy pisarze hiszpańscy, jako o resztkach starożytnych, znakomitych miast, budowanych niegdyś przez lud, następnie zaginiony. Dziwne mieszkania tego ludu składają się z piętr, ułożonych jedno nad drugim, na sposób piramid. Nie można się na nie dostać inaczej, jak tylko za pomocą zewnętrznej drabiny. Tak też dostają się do ich wnętrza dzicy, którzy czasami osiedlają się w tych zwaliskach.

Spotykając takie miasta, ojciec Anzelm a nawet i Paweł, mieli ochotę zatrzymać się trochę, aby przyjrzeć im się dokładnie, ale śpieszny pochód kawalkaty nie pozwalał nikomu pozostawać w tyle. Trzeba było pilnować się ściśle marszruty, oznaczonej z góry przez Otumpe, który znów zastosowywał spoczynki i długość przebywanej drogi do sił i potrzeb swych rumaków.

W miarę zapuszczania się w pustynię, stawała się ona coraz dziksza i głuchsza. Grunt kamienisty wydawał gdzie niedzie zaledwo nędzną trawę i karłowate sosny. Ani ptaka ani zwierzęcia nie było na tych obszarach; zdawało się jakby wszelka żywa istota znikła z ziemi na martwość skazanej.

Od czasu do czasu, natrafiano tylko na owe niespodziane przepaści w gruncie skalistym, ostro rozdartym; nad jedną z takich szczelin uwieczono poprzednio wędrowców. Jednocześnie, co raz liczniej ukazywały się zwaliska miast starożytnych. Za każdym kilometrem prawie, natrafiano na mury z głazów skalistych, na także wieże, szanse obronne i mieszkania, bez mieszkańców.

Zatem niegdyś, w tej martwej pustyni żyły ludy liczne, przemysłne, na wysokim stopniu umysłowego rozwoju stojące. Była to zagadka, którą napróżno wędrowcy silili się rozwiązać. Często na wierzchołku stromych skał, wysokich na trzydzieści lub czterdzieści metrów, wznosiły się potężne mury ogromnej budowli. Jakimże sposobem olbrzymie materiały, potrzebne na zbudowanie takiej twierdzy, zdołano wnieść na owo wzgórze skaliste, o ścianach prostopadłych? Paweł nie umiał tego wytlómaczyć ani pojąć. Przebywano wąwozy i rowy, które musiały kiedyś służyć jako kanały nawodniające, łożyska rzeczne i wyschłe potoki. Ślady pobytu ludzkiego zjawiały się wszędzie, na każdym kroku: domy, wieże, okrągłe, czworokątne, wszystko z odłamów skalistych spajanych gliną, następowało bez przerwy. Te niezliczone dowody istnienia tutaj potężnego, wysoko rozwiniętego ludu, którego imię jest dziś równie nieznane, jak imię wytwórców nasypów, są dzisiaj obszernym polem do badań dla archeologów, anografów i antropologów.

Nie tylko Arizona i Nowy Meksyk, ale także Stany Nevada, Colorado i Utah, to jest blisko dwa miliony metrów kwadratowych przestrzeni, zasiane są gęsto takimi dziełami zaginionych ludów. Rozległe te zamieszkałe przestrzenie musiały zatem być niegdyś żyznymi. Jakiż więc przewrót niewytłomaczony odmienną grunt, zniweczył żyzne pokłady ziemi, wysuszył rzeki i potoki i zniszczył lub zmusił do ucieczki mieszkańców? Jest to zagadka którą nauka stwierdza, ale nie wyjaśnia jeszcze.

Jednego popołudnia zatrzymano się w cieniu domostwa o trzech komnatach. W jednej, węgle, popiół i kamienie okopcone, wskazywały miejsce przedwiekowego ogniska. Ojciec Anzelm z towarzyszami rozkopał ziemię w tej komnacie i znalazł różne naczynia gliniane dość kunsztownego wyrobu. Ka-

rolowi udało się wykopać siekierkę krzemioną, ostrza strzał, wyrobione z kamienia i fajkę przedstawiającą sowę.

Przez pięć dni następnych, przy ciągłych wymijaniach przeróżnych przeszkód, posuwano się naprzód po martwej ziemi. Pochód był utrudniony straszliwym kurzem, oślepiającym blaskiem słonecznym, a nadewszystko brak wody, zaczynał kłopotać Otumpę. W głębi wąwozów przepaścistych, obok których przechodzono, płynął czasem strumyk w głębokości czterdziestu lub pięćdziesięciu metrów i słyszeć się dawał szmer jego. Była to prawdziwa męczarnia Tantala, gdyż spragnieni wędrowcy nie mogli żadnym sposobem dostać się do tych źródeł. Dwa, czy trzy razy, dostrzeżono wojowników Apaszów, uganiających się w oddali, ale gdy chciano się do nich zbliżyć, oni, wyrozumiawszy ilość zbliżających się Komanczów, uciekali jak najspieszniej.

Szóstego dnia tej ciężkiej podróży, kilka koni padło... Zatrzymano się nad brzegiem wąwozu dwudziesto-metrowej tylko głębokości, gdzie w dole szemrał potok. Ludzie i konie bezsilnie rozciągnęli się na ziemi. Otumpa, długo stał zamyślony nad brzegiem wąwozu, wreszcie zbliżył się do ojca Anzelma, mówiąc:

— Księżo, czy nie mógłbyś ty spytać Wielkiego Ducha, poradzić się go, jakby dosięgnąć tej wody? Mój przewodnik doświadczony powiada, że dojdziemy do rzeki dopiero po jutrze; otóż, jeżeli przed tym czasem koni nie napojmy, zginą niezawodnie!

— Niech twoi wojownicy przyniosą mi swoje naczynia do wody i lasa i niech mi dadzą pomoc — powiedział Paweł.

Spostrzegł on o sto kroków od wąwozu ogromny głaz wyłożony głęboko. Natychmiast kazał przytoczyć ten głaz nad brzeg przepaści. Tomasz przewodniczył tej czynności, a Paweł tymczasem wiązał własną ręką lasa, koniec z końcem. Lassa są to rzemienie ze skóry żubrów, nadzwyczaj mocne, wybierano z nich najmocniejsze. Tymczasem wedle jego wskazówek, Minno i Wampa zwięzywali inne lasa, przytwierdzając do nich w pewnych odstępach tykwy dostarczone przez Komanczów. W dwie godziny przygotowania były skończone. Paweł, którego robocie bacznie przypatrywali się dzicy, umocował jeden koniec swój liny do potężnej skały, drugi spuścił w głąb przepaści i upewnił się, że dosięgnie dna. Widząc to, Karol, w jednej chwili zrzucił bluzę, schwytał rzemień oburącz i zaczął spuszczać się po nim, ku nieopisanemu zdumieniu Komanczów, którzy takich sztuk jeszcze nigdy nie oglądali. Paweł mu nie pozwalał na to, ale on rzekł:

— Ja nie mam, jak ty, sierot do wyżywienia, do mnie więc należy spróbować tego postronka, który zresztą dość mocny być musi.

Lekki i zręczny Paryżanin, prędko znalazł się na dnie wąwozu. Paweł następnie poszedł w jego ślady, a gdy i on stanął na dole, wtedy pod dowództwem ojca Anzelma i jego towarzyszy przy pomocy Komanczów, rzemienie z naczyniami na wodę zostały spuszczone, a potem w miarę napełniania szły w górę i na dół porządnie. Kalebasy, zawierające około dwóch litrów, napełniane przez Pawła i Karola w miarę, jak do nich dochodziły, powracały potem do Tomasza, który wlewał z nich wodę do wgłębionego głazu owego i spuszczały się znowu. Trzeba było pilnie zważać na robotę dzikich, którzy ze zbytniego pośpiechu o mało nie rozbijali wątlých naczyni o ściany skał.

Po czterech godzinach pracy, napojono wszystkie konie. Paweł i Karol zmordowani rozciągnęli się na ziemi i odpoczy-

wali. Po chwili spoczynku dopiero Paweł rozkazał Karolowi owinąć się rzemieniem i wyciągnąć go najprzód na górę, a potem Pawła. Komanczowie serdecznie wdzięczni byli dziom, którzy ich i ich konie, ocalili od śmierci z pragnienia i widać było w całym ich obejściu poważanie głębokie, jak dzielność i uczciwość budzi wśród dzikich nawet.

Na wieczór dnia tego upieczono mięso koni, które piwsze uległy trudom podróży, a głownie pragnieniu. Przy dzeniu Paweł i Karol opowiadali towarzyszom dziwne rzeczy, jakie w skalistej, niedostępnej rozpadlinie widzieli, a były to mianowicie dwupiętrowe domy w skale, w głębi rozpadliny. Jakże starożytni mieszkańcy tych domów dostawali się do nich? I jak mogli je w takim niedostępnym miejscu zbudować? I dla czegoż to, dla uniknienia jakich mianowicie niebezpieczeństw, musieli oni gnieździć się, jak jaskółki i ptaki drapieżne, w takich kryjówkach? Wszystkie te pytania, któremi Karol zarzucił ojca Anzelma, pozostały dotychczas bez odpowiedzi. Tysiące tysięcy mieszkań podobnych, z najsłynniejszym trudem i sztuką urządzonych, istnieje na wybrzeżach Colorado i innych rzek amerykańskich, a ich twórcy pozostali dotąd nieznani; badacze tylko nadali im miano „Mieszkańców skał”. *cliff-dwellers* (d. c. n.)

Łamigłówka głoskowa.
(Minka dla Oszki Kow.)

I k p t p s w t f l
z m r Ź n s w m b g
s t j n g t t r w s n g
b g r n c z n s t p z c h w l

Pomiędzy te litery wsunąć brakujące samogłoski, a utworzy się strofa z poematu Pola.

Łamigłówka zgłoskowa.
(Dla Pośmiecuszki).

Z następujących zgłosek: a—a—bło—bot—cho—e—ga—ga—ja—je—ka—ka—ki—krym—li—maj—mars—na—ni—ol—ry—tan—tor—zow—ułożyć wyrazy: 1. Miasto starożytne w Azji. 2. Miasto w Rosji. 3. Imię biblijne. 4. Bożek wojny. 5. Gad. 6. Jezioro w Afryce. 7. Bożek wicherów. 8. Wyspa amerykańska. 9. Półwysep w Europie. 10. Zjawisko meteorologiczne. Początkowe litery, odczytane od góry do dołu i końcowe w kierunku odwrotnym, utworzą imię i nazwisko sławnego rodaka naszego i złączoną spójnikiem sztukę, w której on jest mistrzem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Szarady:

Przy — wiąż — za — nie.

Łamigłówki zgłoskowej:

Runo — Antoni — Faryzeusz — Acheron — Etna — Lis.
Rafael — Sanzio.

TREŚĆ: Poranek wiersz (z drzew.) — Gawędy podsłuchane u Niemnowej fali przez M...a. — Góralka (z drzew.) — Doro powieść przez Maryą Świderską (c. d.) — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Kłopot z koszem (z drzew.) — Stół i fortepian wierszyk p. W. K. — Zarozumiałość przez C. Linę. — Zdarzenie niedawne p. C. Falkowską. — Różowa sukienka p. C. F. — Kanarek, z angielskiego (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie i Ogłoszenie. Dodatek książkowy: Mały książę powiastka historyczna przekład z angielskiego miss Yonge.



Kłopot z koszem.

KŁOPOT Z KOSZEM.

Było nas pięciorgo dzieci, czterech chłopców i siostrzyczka; ja byłem najstarszy. Rodzice mieszkali na wsi, pracowali i kochali nas serdecznie, pozostawiali nam dużo swobody, abyśmy mogli biegać do woli, rozrastać się i wyrastać, zanim się uczyć zaczniemy. Oczywiście, latem bawiliśmy się najrozkoszniej, ale i śmiesznie nieraz. Jedną z najmielszych i najdziecinniejszych naszych zabaw było, wleźć w wielki kosz ogrodnicy. Koniecznie nam o to chodziło, żebyśmy wszyscy w nim się zmieścili; a tu ani raz nie można było tego dokazać. Wpakuwawszy się z największym trudem we czworo, zdarzało się,

że Kubuś aż się rozbeczał, że go bardzo dusimy, a Franuś z największą obawą patrzył w oczy Zuzi, czy się na prawdę nie dusi, gdy ona, włożywszy w buzię cztery paluszki, najspokojniej sobie stała, a ja wyciągałem się w tyle, jak śledź, żeby jak najmniej miejsca zabierać.

Mimo to żadną miarą nie mogliśmy zmieścić w koszu piątego, najmłodszego Kaziuchnę, który też nieboraczek, przytuliwszy się zewnątrz do kosza, przyglądał się nam smutno, jakby tam największa rozkosz była w tym koszu, w którym dlań miejsca nie było. Zatem, żeby go zadowolić, my starsi, wylazszy z kosza, wsadzaliśmy doń Kaziuchnę samego, ale on wtedy gniewał się i płakał, bo jemu właśnie o to chodziło, żeby w koszu dusić się razem z nami, a nie siedzieć wygodnie

samemu. Myśmy tę jego ochotę rozumieli wybornie i chcieliśmy mu dogodzić, ale nie było na to sposobu, bo żadną miarą nie można się było w koszu pomieścić wszystkim pięciorgu. Czasem tedy które z nas starszych ustępowało miejsca Kaziuchnie, wsadzając go do kosza, gdzie już troje starszych siedziało, ale Kaziuchna wtedy płakał rzewnymi łzami i rączki wyciągał do tego, kto miejsca mu ustąpiwszy, sam na zewnątrz kosza pozostał, bo zdawało się Kaziuchnie, że temu komuś straszna się krzywda dzieła.

Takeśmy się z tym koszem długo biedzili, ani raz nie mogąc dokazać, abyśmy razem w nim wszyscy siedzieli; Rodzice spojrzawszy czasem na nas, śmieli się z tego naszego kłopotu i odchodzili do swych zatrudnień, bo nie mieli czasu zabawiać się z dziećmi, gdy cięższa od zabawy troska ciążyła na nich, ta mianowicie, aby tym dzieciom jeść dać do syta i odziać je przyzwoicie i na wychowanie ich w szkołach, grosz zebrać.

Tak to było czas niejaki, aż raz na wakacje przyjechał do nas Wujaszek, uczeń gimnazjum, brat matki. Przez całe pierwsze pół dnia jego u nas pobytu, chodziliśmy koło niego z daleka, na paluszkach, z wielkiem uszanowaniem, bo Matka powiedziała nam, że on, chociaż jeszcze nie jest, to z pewnością będzie bardzo wielkim człowiekiem, gdyż okrutnie się uczy i nad sobą pracuje dniem i nocą. I on sam to słysząc, przyznał, że z pewnością będzie wielkim człowiekiem, jeżeli tylko się przy egzaminach nie oberżnie na przyszły rok i nie będzie musiał piecem do następnej klasy przełazić... My, słuchaliśmy z poroztwieranemi ustami tej rozmowy, bo nie rozumieliśmy nic a nic terminów szkolnych Wujaszka i wypytywaliśmy później matkę, czy to głową, czy nogami przez ów piec trzeba w szkole z klasy do klasy przełazić? Dopiero Wujaszek, dosłyszawszy naszych pytań, zgromadził nas wszystkich pięcioro koło siebie, objął razem rękami i wytłómaczył, że wyrażenie „piecem przełazić” jest tylko alegorią, a znaczy w istocie, „iż uczeń, troszeczkę się zaniedbawszy w naukach jakimś dziwnym przypadkiem, następnie nie zda od razu porządnie do następnej klasy, jak się należy i dopiero przez wakacje się potem przysposobiwszy, zdaje na nowo po wakacjach, a gdy mu się wtedy uda, to się nazywa, iż „piecem przełazi”, bo to znaczy, że mu gorąco było, jak w piecu, ze wstydu, gdyż aż w ten sposób dostawał się do następnej klasy”.

Tak nam tłómaczył tę rzecz Wujaszek, trzymając nas wszystkich w ramionach, a w tém krzyknął Kubuś: „O, gdyby to tak można i do kosza wejść razem?”

— Do jakiego kosza? — spyta Wujaszek i dopiero wytłómaczyliśmy mu nasze kłopoty z tym koszem, do którego tylko czworo z nas wejść mogło, a przecież koniecznie wszystko pięcioro wejść było powinno razem, aby nikomu krzywdy nie było, ponieważ byliśmy rodzeństwem.

Zrozumiawszy o co chodzi, Wujaszek przyznał, że mieliśmy słusność i że koniecznie wszyscy pięcioro powinniśmy przez całe życie trzymać się razem i zgodnie, aby nikomu z rodzeństwa krzywdy nie było.

Poszedł tedy z nami Wujaszek i długo przypatrywał się koszowi, myśląc, jakby to zrobić, aby my wszystko pięcioro w nim się zmieścili, aż nagle po namyśle przewrócił kosz na ziemię bokiem, tak, że najdłuższy bok leżał na ziemi i z całego kosza zrobił się niby powóz do jazdy z piękną budą. Wtedy Wujaszek wpakował nas wszystkich pięcioro do kosza i umieściliśmy się, bo na tym najdłuższym końcu kosza było dość miejsca; i przywiązał Wujaszek do tego końca postronek i pociągnął nas wszystkich razem, zaprząwszy się na ten postronek tak zupełnie, jak jaki rumak do powozu. Pysnie było jechać, zaczęliśmy więc krzyczeć z radości i w ręce klasnąć, ale zaraz też my starsi powyskakiwaliśmy z tego powozu, uściskaliśmy Wujaszka i prosili, żeby się nie męczył ciągnąc nas, jak rumak. On nas uściskał i tak powiedział:

— Bardzo mi to cieszy, że nie jesteście samolubami i macie zawsze wzgląd, aby nikt nie cierpiał na waszej zabawie, pamiętajcież pozostać na zawsze takimi i zawsze dbać o to, abyście wszyscy razem się mieścili.

STÓŁ I FORTEPIAN.

B A J K A.

Przed stołem, co stał pod ścianą,
Wychwalał się fortepiano
Z swego uroku i mocy.
Czy to we dnie, czyli w nocy,
Gdy ja zechcę, ludzie skaczą,
Gdy rozkażę, rzewnie płaczą,
Rażna młodzież, starzy, malce,
Rzną mazury, polki, walce,
A nieco nerwowe damy
Mdleją, skoro im zagramy.
Mego głosu pełną rzeszą
Tłumy rade słuchać śpieszą,
Krzyczą fora! biją brawa!
Wciąż rozlega się ma sława.
A ty, przykuty do ściany,
Stoisz, martwoto drewniany;
Milczysz, gdy się weselimy,
Zwyczajnie, jak głuchoniemy.
Prawda, rzekł stół zawstydzony,
Potęgą są twoje tony,
Czarowne wydajesz dźwięki,
Lecz z pomocą ludzkiej ręki,
Bez niej, powiedz sam, nieboże,
Cobyś tu znaczył we dworze?

W. K.

ZAROZUMIAŁOŚĆ.

przez Celinę.

Dzieci państwa A., Stefan, Edzio i Różia, poszli pewnego dnia na spacer do lasu ze swą nauczycielką, panną Aniela. Dzień był gorący i słońce przygrzewało mocno, bo to był początek Czerwca, dzieci zmęczyły się wkrótce bieganiem i usiadły w cieniu pod drzewem.

Panna Aniela wyjęła z koszyeczka od roboty powieść historyczną p. t. „Ogniem i mieczem”, i zaczęła głośno czytać zajmujący rozdział opisujący oblężenie Zbaraża.

Dzieci słuchały z wielkiem zajęciem, zwłaszcza Stefan, któremu oczy błyszczały i od czasu do czasu wołał: „Żebym ja tam był!”

Panna Aniela skończywszy czytanie, rzekła: „Jakże wam się podoba ten ustęp?”

— Bardzo — rzekli razem Różia i Edzio — dziękujemy pani, że nam to przeczytała.

— A tobie, Stefanku, czy się podobało? — zapytała nauczycielka.

— Niezmiernie, ale jaka szkoda, że tam nie byłem, zniósłbym na miazgę Kozaków i Chmielnickiego! — wykrzyknął Stefan.

— Obeszło się i bez twojej pomocy — rzekła z uśmiechem panna Aniela.

— Tak, bo musiało się obejść — zawołał znowu Stefan — ale jakie to okrucieństwa się działy, ile miast i wiosek spalono!

— Zdaje mi się, że Jeremi Wiśniowiecki i inni rycerze nie byli przecież bojaźliwi i umieli walczyć — zauważył spokojnie Edzio.

— Widać, że nie byli bardzo waleczni, kiedy tak długo nie mogli odeprzeć Kozaków; — żebym ja tam był! oho!

Edzio tylko wzruszył ramionami, a Różia rzekła śmiejąc się: — Stefanowi się zdaje, że jest na polu bitwy, bo w wielkim zapale ścina biczkiem wszystkie trawki i kwiatki dokoła.

— Zamiast próbować swęj siły na kwiatach, z czego niema pożytku, możesz bardzo często w różnych okolicznościach okazać odwagę — dodała panna Aniela. — Ale chodźmy już do domu, bo słońce zachodzi

Rzeczywiście, słońce rzucało ostatnie promienie na las, złącząc drzew wierzchołki. Ludzie i bydło wracało z pola, pastuszkowie wygrywali na fujarkach, gdy nagle dało się słyszeć przeraźliwe wołanie o pomoc nad małą rzeczka, przepływającą w pobliżu wioski.

Panna Aniela z dziećmi pobiegła żywo w tę stronę i ujrzała w wodzie małe wiejskie dziecko, czepiające się roślin nadbrzeżnych. Chwilami biedne dziecko wychylało główkę z pod wody, i wtenczas krzykiem bolesnym wzywało pomocy. Znać jednak było, że siły dziecięcia lada chwila się wyczerpią i znajdzie śmierć w potoku. Widząc niebezpieczeństwo dziecka, panna Aniela bez wahania zawołała:

— Chłopcy, prędko do wody na pomoc tonącemu.

Lecz Edzio, nie czekając rozkazu, rzucił surducik i wskoczył do wody a po chwili wypłynął, trzymając dziecko na rękach, gdy tymczasem odważny Stefan, chociaż równie dobrze pływał jak Edzio, cofnął się bojaźliwie o kilka kroków.

Z pomocą kilku wieśniaków przywołanych przez Rózię wydobyto dziecko, któremu również jak i jego wybawcy nic złego się nie stało.

Wszyscy Rodzicom winszowali tak odważnego syna, Stefan zaś zawstydzony, już nigdy nie przechwalał się, że panna Aniela i Rózia zaraz mu przypominały przygodę nad rzeczka.

Zdarzenie niedawne.

Najstarsza z czworga rodzeństwa, Zosia, pięcioletnia dziewczynka, niezawsze była posłuszną swęj Mamie. Ostrzegano ją żeby nie wchodziła na stoły, okna, łóżka i żeby jako starsza, nie dawała złego przykładu. Wchodzić zaś na wysokie miejsca, jest złem bardzo, bo można spaść i narazić się na kalectwo.

Babcia mówiła Zosi codziennie: bądź grzeczną, mów z rana i wieczór pacierz, nie mów brzydkich wyrazów na usługi i rodzeństwo.

Zapominała Zosia przestróg, aż ją spotkał wypadek. Wyszła raz Mama z Tatka do miasta, Zosia zaczęła skakać z łóżka i tak nieszczęśliwie skoczyła, że upadła na rączkę, a z bólu już sama podnieść się nie mogła.

Rączka czy była stłuczona mocno, czy złamaną w razie, trudno poznać było. Zosia w chwili ciężkiego bólu, wołała do Boga o pomoc i ulgę. Prosiła także piastunkę, żeby się razem z nią modliła.

Jakaż boleść, jakież było zmartwienie rodziców, gdy wróciwszy zastali Zosię taką chorą. Już i modlić się nie mogła, jęczała tylko okropnie. Doktor wezwany, nie mógł od razu poznać, czy rączka jest złamaną, czy też stłuczona, a nawet miał obawę, czy nie wypadnie jej odjąć.

Jednak Bóg ulitował się, wysłuchał prośb Zosi o ulgę i po kilku tygodniach dopiero, mogła ruszać rączką; było to silne stłuczenie, lecz biedaczka bardzo się naciępiiała.

Niech to posłuży dziatkom za naukę, żeby słuchały starszych, nie wchodziły wysoko, bo zawsze takie nieposłuszeństwo ciężko odpokutują.

RÓŻOWA SUKIENKA.

Marynia była bardzo nieporządną, nigdy nie miała na sobie czystej sukeni, wszystko na nią było podarte, poplamione, bo nigdy nie złożyła odzieni, lecz zrzuciwszy z siebie wieczorem, pozostawiła na ziemi, sama zaś wskoczyła do łóżka. Tymczasem na zrzuconych rzeczach, kot wyciągał się wygodnie, gniotąc ładną sukienkę. Na drugi dzień Marynia spędzała kota, gniewając się na niego, lecz to nie wyprasowało sukienki. To też i choć jej najpiękniejsze sprawiono rzeczy, zawsze była brzydko ubrana. Bo jeżeli sukienka była

czysta, to włosy były rozczochrane, a najczęściej uszy i ręce brudne.

Kto tylko na nią spojrzał każdy mówił: jaka nieporządna, aż niemiło patrzeć na to dziecko. Chociaż Marynia była nieporządną, jednak lubiła się ubierać i często miała nowe sukienki. Ciągłe więc prosiła o sprawienie nowych, a zawsze obiecywała poprawę. Po wielu przyrzeczeniach, uprosiła Marynia Mamy, że jej kupi sukienkę różową, którą w pierwszych dniach składała i chowała. Ale zły zwyczaj raz przemógł i zdjąwszy z siebie ową śliczną sukienkę, zostawiła ją na ziemi.

W nocy zachorował braciszek; piastunka idąc z nocną lampką napełnioną olejem, zaczęła nogą o pozostawione rzeczy, i upadła oblewając wszystko olejem. Na drugi dzień spostrzegła Mama zaplamioną sukienkę, dla zawstyżenia nieporządnej dziewczynki powiesiła ją na drzwiach przedpokoju, żeby każdy z wchodzących widział i żałował tak zmarnowanej sukni.

Próżno Marynia prosiła i płakała, Mama nie dała się przebłagać, sukienka wisiała dzień cały. Zawstydzona dziewczynka przyrzekła znów poprawę i rzeczywiście coraz porządniej składała odzienie; to też przyjemniej na nią teraz spojrzeć, a gdy czasem według dawniejszego zwyczaju zostawi rzeczy na podłodze i wskoczy do łóżeczka, jak tylko przypomni sobie różową sukienkę, wyskakuje napowrót, wiesza sukienkę, resztę ubrania układa na krzeselku i dopiero zasypia spokojnie.

C. Falkowska.

KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ IV.

— Małuniu, miałaś mi coś powiedzieć — rzekła Edyta.

Pani Leigh spojrzała na córeczkę pytającym wzrokiem, a po chwili, przypominając sobie, rzekła:

— Pytasz się zapewne o sposób, za pomocą którego myśle znaleźć Pipa. Czy nie zgadujesz, co to będzie?

— Nie, Mamo.

— Czy nie przypominasz sobie, cośmy widziały rano na spacerze?

— Tę biedną dziewczynkę, Mateczko?

— Nie, coś innego.

— Może owocarnia?

— I nie to jeszcze.

Edyta zamyśliła się głęboko; lecz tak była zmartwiona kanarkiem, że nie mogła zgadnąć od razu. Nagle podskoczyła i zaczęła klaskać rączkami.

— Mateczka pewno myśli o tym człowieku, który wołał: Zginął! Zginął!!! Zginął!!!

— Nareszcie odgadłaś — powiedziała pani Leigh. — Myślałam o nim; pójdźmy i powiemy mu, żeby wołał na ulicach, że nasz biedny Pip: Zginął! Zginął!!! Zginął!!! jeżeli go kto znajdzie, będzie wiedział gdzie go odnieść. Rozumiesz, kochanko?

— O rozumiem! A co on będzie wołał, Mamusiu?

— Najpierw zawoła: Zginął! Zginął!!! Zginął!!! A potem co, Edytko?

— O już wiem: Zginął! Zginął!!! Zginął!!! Nasz biedny Pip!

— Zobaczmy — powiedziała Mama. — Pójdziemy do niego i opowiemy mu co się stało, a on już będzie wołał, co mu się podoba.

Poszły na tę samą ulicę, gdzie rano spotkały woźnego, ale już go tam nie było.

Szukały go dosyć długo, wreszcie usłyszały dzwonek.

Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń!
— O! widzi Mamusia — zawołała Edyta — on stoi na rogu ulicy.

I rzeczywiście woźny był tam, otoczony gromadką chłop-
ców i nawet z tak daleka Edyta doskonale słyszała.

— Zginął!
Na wybrzeżu!
Złoty Zegarek!!

Pani Leigh zbliżyła się do woźnego i powiedziała mu kil-
ka słów po cichu. Edyta chciała koniecznie usłyszeć, co bę-
dzie mówił, zatrzymały się więc chwilę.

— Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń!

Zginął!
Zginął!!
Zginął!!!
Wyfrunął z okna!
Kanarek!!!

— To mój — szepnęła Edyta, do stojącego obok niej
chłopczyka; a była z tego tak dumna i zadowolona, iż pra-
wie zapomniała, jak wielkiem zmartwieniem była strata ka-
narka.

Kto go odniesie
Na Bouverie Square N. 9.
Dostanie pięć szylingów
Nagrody!!!

Edyta stała, słuchając jeszcze, bo spodziewała się, że kto
zawoła:

— Mam go! Ja go znalazłem! Ale niestety, nikt się
nie odezwał; woźny odszedł dalej, tłum, otaczający go, rozpro-
szył się, a pani Leigh i Edyta zostały same.

— Ach, Mateczko, nikt Pipa nie znalazł — rzekła Edyta
ze smutkiem.

— Nie bądź taka niecierpliwa, kochaneczko; wiesz prze-
cie, że woźny musi obejść wiele ulic, zanim wszyscy mieszkań-
cy dowiedzą się, że Pip zginął; przed wieczorem nie możemy
się nawet spodziewa wiadomości o nim.

— Ach! jak to długo trzeba czekać — westchnęła Edyta.

— Czas ten prędko ci przejdzie — powiedziała pani
Leigh — nie wrócimy do domu, aż na herbatę, a tymczasem
możesz przejechać się na osiołku.

ROZDZIAŁ V.

Podczas gdy Edyta używa przejażdżki, my wrócimy do
Brownowej i jej córeczki, które w tak niewytłomaczony spo-
sób, Edyta straciła z oczu.

Pamiętacie zapewne, że zostawiła je przed sklepem, a wy-
chodząc z Mamą na ulicę, spostrzegła, że i Brownowa i Na-
talcia i wózek gdzieś zniknęły, co ją bardzo zmartwiło i za-
dziwiło.

Wy się jednak dowiecie, co się z niemi stało.

Gdy Edyta weszła do sklepu, Brownowa spostrzegła ja-
kiegoś chłopca, który wołał na nią, a nie chcąc stracić sposo-
bności zarobienia choćby kilku groszy, weszła za nim w bramę
jednego z domów, gdzie żona stróża kupiła od niej kalafior.

Kalafior kosztował jednego penny, stróżka dała sześć
pensów, żądając reszty; ponieważ zaś Brownowa do tej pory
nie jeszcze nie utargowała i nie miała pieniędzy, posłano
więc synka stróżki po drobne.

Tymczasem pani Leigh przeszła przez ulicę, szukając
wózka z jarzynami; gdy Brownowa wyszła z bramy Edyta
i jej Mama stały przy woźnym, i nie dziwnego, że donośny
głos jego, wykrzykujący:

Zginął! Zginął!! Zginął!!! zagłuszył słabe wołanie prze-
kupki.

Gruszki, jabłka, orzechy!
Sałata dla kanarków!
Muchotrzep dla skowronków!

Brownowa wkrótce opuściła wyższą część miasta, scho-

dząc w dolne ulice zamieszkane przez uboższą ludność; na-
stępnie zaś wyszła za miasto, kierując się ku szosie, wiodącej
do jej domu.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe.

(Od Lisa dla Gwiazdki z Czerwonej Rusi).

Kto	da	kim
doł	sam	ko
pie	pod	wpa
w nie	ki	ten

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 25-go.

Szarady:

Pie — ro — gi.

Dr. Fritsche nadesłał nam następujący spis imienny osób,
które dały składki na kolonie letnie dla biednych, słabowitych
dzieci:

Dr. Florkiewicz rs. 5, Julian Wieniawski rs. 5, Dr. Sommer
rs. 10, Ludwik i Paulina Górscy rs. 50, Bar. St. Lesser rs. 15,
Dr. Z. Kramsztyk rs. 5, E. z Łubińskich Brzezińska rs. 10, Dr.
Konitz rs. 15, Al. Temler rs. 50, K. Szlenkier rs. 50, St. Kr.
Brun rs. 25, H. Kucharzewska rs. 10, Tytus Michałowski z Kijo-
wa rs. 150, Hr. J. Branicka rs. 25, Al. Goldstand rs. 100, M.
z Hauków Kosińska rs. 10, H. Wawelberg rs. 300, St. Natanson
rs. 10, Samuel Dickstein rs. 20, Dr. Bolesław Gepner rs. 20, A.
Jurgelewicz rs. 5, Ber. Kohen rs. 20, Józef Bloch rs. 20, Leon
Gnoiński rs. 10, Wawelberg rs. 100, Ks. Biskup Ruśkiewicz rs. 5,
Wilhelm Landau rs. 25, Sz. Landau rs. 10, St. Wołowski rs. 15,
Lesser Levy rs. 50, Henryk Levy rs. 25, Adolf Landau rs. 5, Lu-
dwik Grossman rs. 10, Dr. J. Baranowski rs. 50, SS-wie Jakóba
Natansona rs. 50, A. Gajewski rs. 5, W. T. 10, Bernard Hantki
rs. 25, Red. Prawdy rs. 16, Red. Tyg. Ilustrowanego rs. 3 kor.
50, Leopold Meyet rs. 5, Apolinary Portner rs. 5, Baronowa J.
zefa Z. rs. 25, J. Korzonowa rs. 5, Dr. Biberstein rs. 5, L. Korn-
gold rs. 10, H. Reichman rs. 20, Wł. Muttermilch rs. 5, Paulin
Bauman rs. 30, Jan Bersohn rs. 25, Mathias Bersohn rs. 25, R.
L. rs. 1, Wiktor Wertheim rs. 2, Jaś i Zosia Wortman rs. 50,
Taubenhaus rs. 3, Rittendorf rs. 10, Bergsohn rs. 5, Michał Ko-
zarski rs. 15, Grabowska rs. 3, z pensyi J. S. rs. 60, Kazimierz
Hordliczko kop. 10, Al. Brockman rs. 20, Pani Z. rs. 5, Aleksan-
dra Blochówna rs. 50. Od Sroczyki plockiej, Sroczyki kieleckiej
i Wróbelka kieleckiego rs. 6 i od Zygmunia S. rs. 1, za pośred-
nictwem redakcyi Wieczorów Rodzinnych.

Również na kolonie letnie złożyli na ręce Pani Doktorowej
Aleksandry Braunowej: F. R. rs. 10, E. R. rs. 2 kop. 50, A. I
rs. 5, M. K. rs. 5, Antolka K. rs. 1, Jadwiga K. rs. 5, Julcio I
kop. 30, Felunia B. kop. 30, Juliusz Wertheim rs. 15, Henrykow
Natanson rs. 15, Piotr Wertheim rs. 6, Andrzej Wolff rs. 6.

Oprócz tego bracia Ginsberg w Zawierciu ofiarowali cztery
sztuki perkalu.

Skrzynka do listów.

P. Wienczysławowi Ł. Niepodobna tak prędko. Wreście-
trzeba wpierv przeczytać.